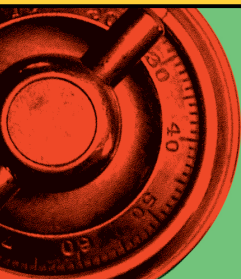


COLSON

→ autor ←
KOLEI PODZIEMNEJ
i MIEDZIAKÓW

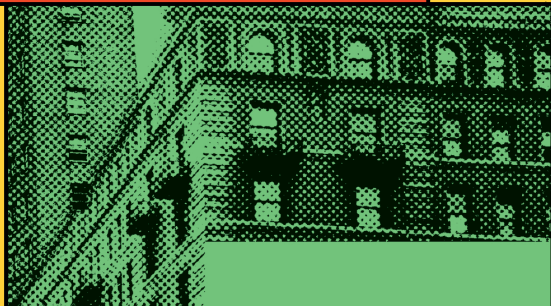
.....
Zdobywca dwóch
PULITZERÓW oraz
NATIONAL BOOK AWARD

WHITEHEAD



Rytm

HARLEMU



ALBATROS

Tytuł oryginału:
HARLEM SHUFFLE

Copyright © Colson Whitehead 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Oliver Munday

Zdjęcia na okładce: © DonNichols/Getty Images (*tom*); © Lehnartz/ullstein/Getty Images (*postać*); © H. Armstrong Roberts/ClassicStock/Getty Images (*twarze*); © jgroup/iStock/Getty Images (*sejf*); © CSA-Images/Vetta/Getty Images (*diament*)

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Agnieszka Drabek, Wydawnictwo Albatros
Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

Kuzyn Freddie wciągnął go w ten skok pewnego upalnego wieczoru na początku czerwca. Dla Raya Carneya był to jeden z tych dni, kiedy stale krążył: a to uptown, a to downtown, ciągły ruch po mieście. Silnik chodził bez przerwy. Najpierw Radio Row, gdzie Carney miał zostawić trzy ostatnie konsole, dwie RCA i jednego magnavoxa oraz zabrać telewizor, który zawiózł tam wcześniej. Radia zdążył już sobie odpuścić, bo od półtora roku nie sprzedał ani jednego, choćby nie wiadomo jak błagał i schodził z ceny. Teraz zalegały w piwnicy, zajmując miejsce potrzebne na nowe rozkładane fotele, które w przyszłym tygodniu miały przyjść z Argent, i na to, co po południu miał zabrać z mieszkania zmarłej kobiety. Trzy lata temu te radia były ostatnim krzykiem techniki; teraz ich lśniące mahoniowe obudowy skryły się pod grubymi kołdrami, które Carney przypiął skórzanymi pasami do paki pick-upa. Wóz podskakiwał na straszliwych koleinach

West Side Highway.

Właśnie tego ranka w „Tribune” ukazał się kolejny artykuł o planowanej rozbiórce estakady. Ta droga, wąska i bezmyślnie wybrukowana, od początku była partaniną. Nawet w najlepsze dni jeździło się tam zderzak w zderzak, nie ustawały kłótnie na klaksony i wyzwiska, a kiedy padał deszcz, dziury w jezdni zmieniały się w zdradliwe laguny, w jedną wielką ponurą breję. W zeszłym tygodniu do sklepu przyszedł klient z głową owiniętą jak mumia – dostał w czerep spadającym kawałkiem balustrady, gdy przechodził pod tym cholerstwem. Zapowiedział, że pozwie miasto. „Ma pan prawo”, przyznał Carney. W pobliżu Dwudziestej Trzeciej Ulicy koła pick-upa wpadły do dziury i niewiele brakowało, żeby jedna z konsol RCA wystrzeliła z paki prosto do rzeki Hudson. Carney odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie bez przygód udało mu się skręcić w Duane Street.

Jego człowiek na Radio Row miał zakład w połowie długości Cortlandt Street, tuż przy Greenwich, w samym sercu tej okolicy. Carney zaparkował przed Samuel’s Amazing Radio – NAPRAWIAMY WSZYSTKIE MARKI – i poszedł sprawdzić, czy Aronowitz jest u siebie. W zeszłym roku dwa razy tłukł się tutaj tylko po to, żeby odkryć, że w środku dnia sklep jest zamknięty.

Jeszcze parę lat temu, kiedy człowiek szedł wzdłuż gęsto ściśniętych witryn, czuł się tak, jakby kręcił potencjometrem radia: w jednym sklepie z głośników

tubowych leciał jazz, w następnym grali niemieckie symfonie, w kolejnym ragtime i tak dalej. S&S Electronics, Landy's Top Notch, Steinway the Radio King. Dziś najczęściej puszczano rock and rolla, rozpaczliwie usiłując ściągnąć tam nastolatków, a witryny wypchane były telewizorami, najnowszymi cudami techniki od DuMonta, Motoroli i całej reszty. Konsole w jasnym drewnie, nowiutkie przenośne opływowe modele, i zestawy hi-fi trzy w jednym, z kineskopem, radiem i gramofonem w tej samej obudowie, sprytnie. Nie zmieniała się natomiast trasa Carneya, wiodąca slalomem wokół wielkich koszy i kublów z lampami próżniowymi, transformatorami audio i kondensatorami, do których ściągali majsterkowicze z całego Nowego Jorku i okolic. Każda potrzebna część, każda marka, każdy model za rozsądną cenę.

W powietrzu ziała dziura w miejscu, gdzie dawniej biegła kolejka nadziemna Ninth Avenue El. Ta, która zniknęła. Kiedy Carney był mały, ojciec zabrał go tu parę razy przy okazji swoich tajemniczych eskapad. Czasami Carney wciąż miał wrażenie, że wśród muzyki i pokrzykiwań targujących się ludzi słyszy dudnienie pociągu.

Aronowitz, z lupą przy oku, pochylał się nad szklanym blatem i grzebał w jednym z tych swoich gadżetów.

– Pan Carney. – Zakasłał.

Niewielu białych zwracało się do Carneya per pan. Przynajmniej w downtown. Kiedy po raz pierwszy

przyjechał w interesach na Radio Row, biali sprzedawcy udawali, że go nie widzą, a potem obsługiwali hobbistów, którzy przyszli po nim. W kolejnych warsztatach odchrząkiwał, robił różne gesty, a i tak pozostawał czarnym duchem; znosił typowe upokorzenia, dopóki nie wszedł po schodach z żelaza do zakładu Aronowicz i Synowie i właściciel nie zapytał: „W czym mogę pomóc szanownemu panu?”. To było takie „w czym mogę pomóc?”, które naprawdę znaczy to, co znaczy, a nie: „co ty tutaj robisz?”. Ray Carney przez lata zdążył poznać różnicę.

Pierwszego dnia powiedział, że ma radio do naprawy – właśnie dorywczo zaczął się zajmować lekko używanymi sprzętami. Kiedy próbował wyjaśnić, o co chodzi, Aronowicz mu przerwał i zajął się rozkręcaniem obudowy. Podczas kolejnych wizyt Carney nie strzepił języka, tylko stawiał radia przed maestrem i pozwalał mu robić swoje. Porządek wyglądał następująco: Aronowicz najpierw wzdychał i stękał ze znużeniem, po czym badając problem, błyskał i gmerał srebrnymi przyborami. Sprawdzał swoim diagnetrem bezpieczniki i oporniki, kalibrował napięcie, przetrząsał nieopisane szuflady stalowych szaf ustawionych wzdłuż ścian mrocznego lokalu. Jeśli kroilo się coś dużego, obracał się na fotelu i przy akompaniamencie kolejnych postękiwań czmychał do warsztatu na tyłach. Kojarzył się Carneyowi z wiewiórką w parku, która rzuca się na łeb na szyję za zgubionym orzechem. Może inne wiewiórki z Radio Row rozumiały takie zachowanie, ale

dla takiego cywila jak on był to zwierzęcy obłąd.

Carney często szedł wtedy nieopodal na kanapkę z szynką i serem, żeby facet mógł pracować w spokoju.

Aronowitz nigdy nie zawodził, zawsze znajdował właściwą część i naprawiał, co trzeba. Nowe technologie stwarzały jednak staruszkowi problemy, więc w przypadku telewizorów zwykle kazał wrócić nazajutrz albo i za tydzień, kiedy przyjdzie nowy kineskop lub nowa lampa. Nie godził się na upokorzenie, jakim byłaby dla niego wycieczka do konkurencji parę lokali dalej. Tak właśnie Carney wylądował u Aronowitza tego poranka. Tydzień wcześniej podrzucił mu dwudziestojednocalowego philco. Uznał, że przy odrobinie szczęścia staruszek weźmie od niego te radia.

Wniósł do lokalu jedną z wielkich szaf RCA i zawrócił po drugą.

– Miałem chłopaka, który by panu pomógł, ale musiałem mu skrócić godziny – powiedział Aronowitz.

Na ile Carney się orientował, chłopak, Jacob, gburowaty nastolatek z dziobatą twarzą, który mieszkał w domu noclegowym przy Ludlow Street, pracował tam od niespełna roku. „I Synowie” w nazwie zakładu zawsze było tylko wyrazem ambicji – żona Aronowitza dawno temu wróciła do siostry w New Jersey – ale przechwałki i bufonada należały do stałych motywów lokali na Radio Row. „Najlepsze w mieście”, „Salon jakości”, „Nie do pobicia”. Kilkadziesiąt lat wcześniej boom na elektronikę

zmienił tę okolicę w teatr imigranckich ambicji. Załóż interes i dobrze się sprzedaj, a wyrwiesz się z bagna czynszówek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, otworzysz drugi punkt, a ten pierwszy rozbudujesz, przejmując sąsiedni lokal, który splajtował. Przekażesz interes synom, a sam przejdziesz na emeryturę i przeprowadzisz się do nowych przedmieść na Long Island. Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Carney miał ochotę mu doradzić, żeby dał sobie spokój z tymi „synami” i zdecydował się na coś bardziej modnego: Atomic TV & Radio albo Jet Age Electronics. To by jednak oznaczało odwrócenie relacji między nimi, ponieważ pod tym adresem to Aronowitz udzielał porad, jak przedsiębiorca przedsiębiorcy, zwykle takich spod znaku „lekarzu, lecz się sam”. Carney nie potrzebował wskazówek staruszka na temat księgowości ani zasad rozmieszczania towarów. W jego kantorku, obok zdjęcia Leny Horne z autografem, wisiał dyplom z zarządzania z Queens College.

Carney wniósł wszystkie trzy radia do lokalu. Ruch na chodnikach Radio Row nie był już taki jak kiedyś.

– Nie, nie są zepsute – oznajmił, kiedy Aronowitz rozwinął przybornik, zrobiony z zielonego filcu i z przegródkami na narzędzia. – Pomyślałem, że może pan by je chciał.

– Nic im nie dolega? – Zupełnie jakby to, że jakieś urządzenie może działać, było czymś niesłychanym.

– Przyszło mi do głowy, że skoro jadę tu po telewizor,

to zapytam, czy nie jest pan zainteresowany. – Z jednej strony po co radioodbiornik facetowi od radioodbiorników, ale z drugiej – każdy biznesmen robi coś na boku. Carney wiedział, że dotyczy to również Aronowitza. – Może na części albo coś w tym stylu?

Aronowicz się przygarbił.

– Części. Klientów nie mam, panie Carney, ale części owszem.

– Ma pan mnie.

– Mam, panie Carney, i można na pana liczyć. – Potem Aronowicz zapytał o żonę i córkę. Dziecko w drodze? Mazeł tow. Zaczepił palec o czarne szelki i zamyślił się. W promieniach słońca wirował kurz. – Znam jednego takiego w Camden, co się specjalizuje – powiedział. – Lubi te z RCA. Może będzie zainteresowany. Albo nie. Pan to zostawi, a kiedy pan przyjdzie następnym razem, to powiem, jak poszło.

Pozostawała jeszcze kwestia magnavoxa. Orzechowa szafka, osiemnastocalowe głośniki niskotonowe, zmieniarz Collaro. Trzy lata temu ostatni krzyk techniki.

– To też niech pan zostawi, zobaczymy.

Staruszek od zawsze miał zwisającą skórę na twarzy, wydatne policzki, obwisłe uszy i powieki oraz żałośnie zgiętą sylwetkę. Zupełnie jakby wsysały go te maszyny, nad którymi godzinami się pochylał. Ostatnio ten ciąg ku ziemi się nasilił, odzwierciedlając ugięcie się Aronowitza przed nieubłaganyimi faktami. Zmienił się towar, klientela

przeszła całkowitą transformację, a ambicje nigdy się nie ziszcily. Było jednak parę zajęć, dzięki którym w tej schyłkowej epoce się nie nudził.

– Mam pański telewizor – powiedział.

Zakasłał w wyblakłą żółtą chusteczkę. Carney ruszył za nim na zaplecze.

Nazwa zakładu, wymalowana na szybie mocnymi złotymi literami, zapowiadała jedno, obskurny sklepik – drugie, a w tym pomieszczeniu natrafiało się na coś całkiem innego, o wymiarze ze wszech miar duchowym. Atmosfera była tu mroczna, lecz podniosła. Zgiełk Radio Row cichł. Na metalowych półkach spoczywały rozmontowane odbiorniki, kineskopy w różnych rozmiarach i wnętrzości maszyn. Pośrodku pomieszczenia stał oświetlony stół roboczy, a pusta przestrzeń pooranego drewnianego blatu czekała na kolejnego pacjenta. Wokół leżały równo ułożone narzędzia i kanciaste instrumenty pomiarowe. Pięćdziesiąt lat wcześniej większość znajdujących się tu rzeczy jeszcze nie istniała, była tylko na wpół uświadomioną myślą pałającą się na obrzeżach wyobraźni wynalazców – a teraz proszę bardzo: były pomieszczenia takie jak to, w których ludzie strzegli ich tajemnic.

Do czasu, aż pojawi się coś nowego.

Tam, gdzie dawniej mieściło się biurko chłopaka, stała składana wojskowa prycza, a na niej, zwinięty w literę S, leżał wełniany koc w szkocką kratę. Czy Aronowitz tu sypiał? Kiedy szedł przodem, Carney spostrzegł, że

znowu schudł. Przeszło mu przez głowę, żeby zapytać go o zdrowie, ale tego nie zrobił.

Przy drzwiach wejściowych Aronowitz trzymał wystawę radioodbiorników tranzystorowych, jednak na zapleczu przedmioty były w ciągłym ruchu. Na podłodze stał telewizor Philco 4242 od Carneya.

Do jego sklepu wwiózł go na skrzypiącym wózku Freddie, zarzekając się, że jest „we wzorowym stanie”. Czasami Carney miał ochotę naciskać na kuzyna tak długo, aż to kłamstwo nie wytrzyma presji, a kiedy indziej czuł do niego miłość tak wielką, że wstydził się nawet cienia podejrzliwości. Gdy wetknął wtyczkę do kontaktu i włączył telewizor, został nagrodzony białą kropką pośrodku kineskopu i nadąsanym szumem. Nie zapytał Freddiego, skąd to ma. Nigdy nie pytał. Telewizory szybko znikwały z działu sprzętów lekko używanych, jeśli tylko Carney odpowiednio je wycenił.

– Jeszcze w pudełkach – rzucił.

– Co? A, te.

Przy drzwiach do łazienki stały, jeden na drugim, cztery telewizory Silvertone: obudowa z jasnego drewna, odbiór wszystkich kanałów. Produkował je Sears, a klienci Carneya uwielbiali Searsa od dziecka, kiedy to ich rodzice zamawiali produkty z katalogów wysyłkowych, bo biali ludzie w swoich miastach na Południu nie chcieli im nic sprzedawać albo podbijali ceny.

– Przywiózł je wczoraj jakiś facet – oznajmił Aronowitz.

– Podobno spadły z ciężarówki.

– Pudełka wyglądają w porządku.

– Pewnie spadły z małej wysokości.

Sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów w detalu plus ze dwadzieścia podatku harlemskiego w białym sklepie – bo podbijanie ceny zdarzało się nie tylko na południe od linii Masona-Dixona.

– Pewnie sprzedałbym jeden chętnemu klientowi – powiedział Carney.

Za sto pięćdziesiąt dolarów w ratach telewizory dostałyby nóg i same wymaszerowały ze sklepu, śpiewając *Gwiazdzisty sztandar*.

– Mogę się rozstać z dwoma. I dorzucę robocizną za tego philco. Po prostu przewód się obłuzował.

Dobili targu w sprawie telewizorów. Kiedy Carney wychodził, Aronowitz zapytał:

– Pomoże mi pan przenieść te radia na zaplecze? Staram się, żeby od frontu wyglądało przyzwoicie.

Do uptown Carney pojechał Dziewiątą Aleją, bo z nowymi telewizorami na pokładzie nie ufał West Side Highway. Spylił trzy radia, a zyskał trzy telewizory – niezły początek dnia. Kazał Rusty'emu przenieść je do sklepu, a potem pojechał do domu zmarłej kobiety przy Sto Czterdziestej Pierwszej Ulicy. Na lunch zjadł dwa hot dogi i wypił kawę w Chock Full o'Nuts.

W budynku na Broadwayu pod numerem 3461 nie działała winda. Kartka wisiała już od jakiegoś czasu. Carney policzył schody na trzecie piętro. Kiedy coś kupował i musiał to znieść do pick-upa, lubił wiedzieć, ile stopni będzie przeklinał po drodze. Na pierwszym piętrze ktoś gotował świńskie nóżki, a na trzecim, sądząc po zapachu, stare skarpety. Zapowiadało się na zmarnowaną wyprawę.

Do mieszkania numer 4G wpuściła go córka, Ruby Brown. Czyszowy budynek osiadł, więc kiedy otworzyła mu drzwi, szorowały o podłogę.

– Cześć, Raymond – powiedziała. Nie potrafił jej skojarzyć. – Chodziliśmy razem do Carvera. Ja o parę klas niżej.

Pokiwał głową, jakby pamiętał.

– Moje kondolencje.

Podziękowała i przez chwilę patrzyła w podłogę.

– Przyjechałam zająć się wszystkim, a Timmy James poradził, żebym do ciebie zadzwoniła.

Tego Timmy'ego też nie kojarzył. Kiedy kupił pick-upa i zaczął go wynajmować, a potem skupować meble, znał wszystkich. Teraz pracował w branży już tak długo, że jego reputacja wyszła poza stare kręgi.

Ruby włączyła światło w przedpokoju. Minęli wąską kuchnię i dwa pokoje. Ściany były porysowane, a miejscami wyżłobione aż do gipsu – Brownowie mieszkali tam od dawna. Zmarnowana wyprawa. Kiedy ktoś dzwonił w sprawie mebli, zwykle miał dziwne wyobrażenia co

do tego, czego szuka Carney: że weźmie każdą starość, zapadniętą kanapę, z której sterczą sprężyny, rozkładany fotel z przepoconymi podłokietnikami. Przecież nie był złomiarzem. Po dobre znaleziska warto się fatygować, ale zbyt wiele czasu marnował na fałszywe tropy. Gdyby jego pomocnik Rusty miał choć za grosz rozumu albo gustu, Carney mógłby wysłać go na takie misje, ale ten nie miał ani jednego, ani drugiego. Wróciłby z meblem w takim stanie, jakby w wyściółce z końskiego włosia zamieszkały szopy.

Tym razem Carney się mylił. Jasny pokój dzienny wychodził na Broadway, a przez okno wpadał dźwięk karetki. Komplet stołowy w kącie, wyszczerbiony i odbarwiony, pochodził z lat trzydziestych, a wyblakły owalny dywan był wydeptany, ale sofa i fotel wyglądały jak prosto z fabryki. Heywood-Wakefield z drewnianymi elementami w kolorze szampana, co ostatnio bardzo się podobało. Do tego przezroczyste pokrowce z winylu.

– Mieszkam teraz w Waszyngtonie – powiedziała Ruby.
– Pracuję w szpitalu. Ale już od lat powtarzałam matce, żeby pozbyła się starej kanapy. Te meble kupiłam jej dwa miesiące temu.

– Jak Waszyngton? – Carney rozpiął suwak pokrowca.

– Podoba mi się. Wiesz, tam jest mniej... tego. – Wskazała na chaos Broadwayu za oknem.

– Jasne. – Przesunął dłonią po tapicerce z zielonego welvetu: stan idealny. – To z Mr. Harold's?

Nie kupiła tych mebli u niego, a w Blumstein's nie mieli tej serii, więc to na pewno z Mr. Harold's.

– Tak.

– Bardzo zadbane – stwierdził.

Kiedy skończył, raz jeszcze spojrzał na Ruby. Ubrana w szarą sukienkę, krągła i pulchna. Ze zmęczonym wzrokiem. Miała krótko przystryżone kędziory. I wtedy mignął mu ten obraz: Ruby Brown jako nastolatka o patykowatych kończynach, z włosami upiętymi w dwa długie kucyki i w błękitnej bluzce z zaokrąglonym białym kołnierzykiem. W tamtych czasach trzymała się z grupą pilnych uczennic. Surowi rodzice, ten typ.

– No tak, Liceum Carvera – rzucił.

Zastanawiał się, czy Hazel Brown już pochowali. Był ciekaw, jak to jest uczestniczyć w pogrzebie matki albo ojca, jaką minę w takiej chwili przytwardza się do twarzy. Jakie wspomnienia przychodzą do głowy, te małe albo te duże, co się wtedy robi z rękami. Jego rodzice nie żyli, ale on tego nie doświadczył, dlatego się zastanawiał.

– Moje kondolencje – powtórzył.

– Miała kłopoty z sercem, tak jej mówił lekarz przez ostatni rok.

Carney chodził do czwartej klasy, kiedy ona była w drugiej. Jedenaście lat wcześniej, w 1948 roku, kiedy usiłował nad wszystkim zapanować. Trochę się ogarnąć i jakoś się prezentować. Nikt nie chciał mu pomóc, więc musiał zrobić to sam. Nauczył się gotować, płacił rachunki,

gdy przychodziły upomnienia, miał gotową gadkę, kiedy zaglądał właściciel domu.

Cały czas dokuczała mu banda młodszych chłopaków, kolegów Ruby z klasy. Twardziele w jego wieku dawali mu spokój, bo znali go z dawnych czasów i kiedyś razem się bawili, za to Oliver Handy i jego grupa... to dopiero byli wredni ulicznicy. Oliver, który od niepamiętnych czasów miał wybite dwa przednie zęby, nigdy nie dawał mu przejść spokojnie, zawsze do czegoś się przyczepiał.

Razem ze swoją bandą śmiał się z plam na jego ubraniu, które źle leżało, więc z tego też się śmiał. Mówili, że Carney cuchnie jak śmieciarka. Kim wtedy był? Nieśmiałym chuderlakiem, co stale się jękał. W trzeciej klasie wystrzelił do góry o piętnaście centymetrów, jakby jego ciało rozumiało, że musi nadrobić zaległości, żeby podołać dorosłym obowiązkom. Mieszkał w starym domu przy Sto Dwudziestej Siódmej Ulicy, bez matki, z ojcem, który albo gdzieś krążył, albo to odsypiał. Rano Carney wychodził do szkoły, zamykał drzwi mieszkania z pustymi pomieszczeniami i szykował się na wszystko, co go czekało. Rzecz w tym, że kiedy Oliver z niego szydził – przed sklepem z cukierkami albo na klatce schodowej na tyłach szkoły – on zdążył się już nauczyć dokładnie spierać plamy, obszywać spodnie i brać porządny prysznic przed wyjściem na lekcje. Oliver szydził więc z tego, kim Carney był, zanim wziął się w garść.

Skończył z tym, kiedy Carney walnął go w twarz

żelazną rurą. Taką w kształcie litery U, jak spod umywalki. Pojawiła się w jego rękach jakby sama, wygrzebana z pustej działki przy skrzyżowaniu Amsterdam Avenue i Sto Trzydziestej Piątej, gdzie go otoczyli. Głos ojca: tak trzeba postępować z czarnuchem, co się do ciebie dopierdala. Carney miał wyrzuty sumienia, kiedy widział Olivera w szkole, opuchniętego i przemykającego pod ścianą. Potem dowiedział się, że jego tata okantował tatę Olivera na jakimś przekręcie z kradzionymi oponami, więc może to tłumaczyło całą sprawę.

Wtedy po raz ostatni podniósł na kogoś rękę. Jego zdaniem doświadczenie uczyło, że wcale nie trzeba żyć tak, jak się zostało nauczonym. Każdy skądś pochodzi, ale ważniejsze jest to, dokąd postanowił iść.

Ruby wybrała nowe miasto, a on – życie w branży meblarskiej. Rodzinę. Jeśli tylko coś wydawało się odwrotnością tego, co znał z dzieciństwa, natychmiast go pociągało.

Zaczęli gadać o dawnej szkole, o nauczycielach, których nie cierpieli. Znaleźli tu punkty wspólne. Ruby miała miłą, okrągłą twarz, a gdy się śmiała, Carney odnosił wrażenie, że Waszyngton był dla niej dobrym wyborem. Nie brakowało powodów, żeby wyrwać się z Harlemu, jeśli się da.

– Twój ojciec pracował w warsztacie za rogiem – powiedział.

W Miracle Garage jego tata pracował od czasu do

czasu, kiedy nie szedł mu główny biznes. Robota płatna od godziny, stabilna. Właściciel, Pat Baker, bujał się z ojcem Carneya, zanim sam wyszedł na prostą. Na prostą w tym sensie, że robił mniej lewych interesów; nie dało się powiedzieć, że każde auto w warsztacie miało papiery w porządku. Jak mawiał Carney, warsztat miał przerób, podobnie jak Aronowicz. Jak jego sklep. Towar przypływał, towar odpływał, jak fale.

Pat miał u jego taty stary dług, więc dał mu robotę, gdy ten jej potrzebował.

– Prawda – potwierdził Carney i czekał na puentę.

Zwykle, kiedy ktoś wspominał jego ojca, był to wstęp do niechlubnej historyjki. „Widziałem, jak dwóch policjantów zgarniało go spod Finian’s”. Albo: „Okładał jednego delikwenta pokrywą od śmietnika”.

Ruby nie podzieliła się jednak żadną szemraną anegdotą.

– Zamknęli ten warsztat parę lat temu – powiedziała.

Dobili targu za sofę i fotel do kompletu.

– A to radio? – zapytała.

Stało obok niedużego regału z książkami. Hazel Brown trzymała na nim bukiet sztucznych kwiatów w czerwonym wazonie.

– Za radio będę musiał podziękować – odparł Carney.

Zapłacił dozorczy parę dolców za pomoc w zniesieniu sofy do pick-upa, a po fotel zamierzał przysłać Rusty’ego nazajutrz. Sześćdziesiąt cztery schody.

Zanim wynajął lokal pod salon meblarski Carney's Furniture, mieścił się tam sklep z meblami, a wcześniej sklep z meblami. Wytrwawszy w interesie przez pięć lat, Carney prześcignął Larry'ego Early'ego, odrażającego typu, nienadającego się do handlu, i Gabe'a Newmana, który zmył się w środku nocy, porzucając gromadę wściekłych dłużników, rodzinę, dwie dziewczyny i basseta. Przesądni mogliby uznać, że dla branży wyposażenia wnętrz lokal jest przeklęty. Nie należał do najpiękniejszych, ale ktoś mógłby tam zbić fortunę. Carney potraktował nieudane przedsięwzięcia i zdruzgotane marzenia poprzedników jako nawóz, który pomógł rozkwitać jego ambicjom, zupełnie jak powalony dąb, który rozkładając się, odżywia żołędzia.

Czynsz był rozsądny jak na Sto Dwudziestą Piątą Ulicę, a lokal – dogodnie położony.

Z powodu czerwcowego upału Rusty uruchomił dwa duże wiatraki. Miał irytujący zwyczaj porównywania pogody w Nowym Jorku do swojej rodzinnej Georgii, która w jego opowieściach była krainą rześzystych deszczów i niemiłosiernego skwaru: „To jest jeszcze nic!“. W każdej sprawie hołdował małomiasteczkowemu poczuciu czasu, pośpiech był mu obcy. Choć nie należał do urodzonych sprzedawców, przez dwa lata pracy w sklepie nabrał swoistej prząsnej charyzmy, która przemawiała do części

klientów Carneya. Jego świeżo wyprostowane włosy, rude i bujne – z pomocą zakładu Charlie's przy Lenox Avenue – dodały mu pewności siebie, która przełożyła się na wzrost sprzedaży.

Jednak w ten poniedziałek nie pomagały nawet prostowane włosy, bo w sklepie zupełnie nic się nie działo.

– Ani żywej duszy – powiedział Rusty, kiedy wnosili sofę Hazel Brown do działu ze sprzętami lekko używanymi.

Mówił to płaczącym tonem, który Carneyowi wydawał się uroczy. Rusty reagował na typowe wahnięcia handlu niczym farmer wypatrujący na niebie chmur burzowych.

– Jest gorąco – zauważył Carney. – Ludzie mają więcej na głowie.

Sofę Heywood-Wakefield umieścili w doskonałym miejscu. Dział sprzętów lekko używanych zajmował dwadzieścia procent powierzchni całego salonu – Carney obliczył to co do centymetra – czyli dwa razy więcej niż przed rokiem. Używane towary powoli zyskiwały na popularności, odkąd dostrzegł, że przyciągają łowców okazji, spacerowiczów po wyplacie oraz takich, co to tylko wpadli pooglądać. Nowe towary były pierwszej jakości, Carney miał status autoryzowanego przedstawiciela Argent i Collins-Hathaway, ale rzeczy z drugiej ręki cieszyły się niesłabnącym uznaniem. Trudno przepuścić okazję, kiedy miało się do wyboru albo czekać na dostawę z magazynu, albo jeszcze dziś wyjść ze sklepu z fotelem z uszakami. Dzięki baczemu oku Carneya do salonu

trafiały dobre meble. Taką samą wagę przywiązywał do lamp, dywanów i urządzeń elektronicznych z drugiej ręki.

Chętnie przechadzał się przed otwarciem po salonie. Lubił te pół godziny porannego światła wlewającego się przez duże okna znad banku po drugiej stronie ulicy. Przesuwał kanapę, żeby nie opierała się o ścianę, poprawiał karteczkę PRZECENA, ładnie układał broszury producentów. Jego czarne buty stukały o drewno, na moment wyciszał je miękki plusz małego dywanu, a potem dźwięk powracał. Carney miał teorię dotyczącą luster i tego, jak kierują uwagę w różne rejony lokalu. Testował ją podczas obchodu. Później otwierał sklep na Harlem. Cały salon należał do niego, jego nieoczekiwane królestwo, które zawdzięczał rozumowi i przedsiębiorczości. Z własnym nazwiskiem na szyldzie, tak żeby je wszyscy widzieli, nawet jeśli przez przepalone żarówki nocą wyglądało smętnie.

Po zajrzeniu do piwnicy, żeby sprawdzić, czy Rusty wstawił telewizory tam, gdzie go prosił, Carney wrócił do kantorka. Lubił roztaczać aurę profesjonalisty, chodzić w marynarce, było jednak za ciepło. Miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i błyszczący krawat wetknięty między środkowe guziki. Chował go tam, kiedy pakował radia, żeby nie wchodził mu w paradę.

Przy biurku podliczył dzień: odjął kwotę, którą wiele lat wcześniej zapłacił za radia, odjął pieniądze za telewizory i meble pani Brown. Suma w kasie nie podnosiła na

duchu, gdyby upał miał się utrzymać i klienci nie zaczęli przychodzić.

Popołudnie płynęło. Liczby się nie zgadzały, jak zwykle. Ani dzisiaj, ani w żaden inny dzień. Dwa razy sprawdził, kto zalega z płatnością. Zbyt wielu. Rozwahał to już od pewnego czasu i wreszcie postanowił: koniec z płaceniem na raty. Ma się rozumieć, klienci to uwielbiali, ale jego nie było już stać na opóźnienia. Męczyło go ekspediowanie egzekutorów. Jak jakiś szef półświatka, który posyła pacholków. Jego ojciec trochę się zajmował taką robotą: waliło się w drzwi, a wszyscy na piętrze wychodzili zobaczyć, o co idzie. Od czasu do czasu trzeba było spełnić jakąś groźbę... Carney się opanował. Trafiało mu się sporo naciągaczy, a on miał miękkie serce do prolongowania długów i dawania drugiej szansy. Ale teraz był na to zbyt mały ruch w interesie. Elizabeth przywoła go do porządku i nie pozwoli mu na wyrzuty sumienia.

Wreszcie zbliżała się pora zamknięcia. W myślach Carney był już przecznicę od domu, kiedy usłyszał głos Rusty'ego:

– To jeden z naszych najpopularniejszych modeli.

Wyrzał przez szybę nad biurkiem. Pierwszymi klientami dnia okazała się młoda para: żona w ciąży z mężem zasłuchanym w gadkę Rusty'ego i ochoczo kiwającym głową. Zainteresowani zakupem, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedzieli. Żona wachlowała się, siedząc na nowej sofie Collins-Hathaway. Na oko miała rodzić lada

dzień, może nawet tutaj, za moment, na plamoodpornych poduszkach.

– Podać wody? – zapytał Carney. – Ray Carney, właściciel.

– Poproszę.

– Rusty, przyniesiesz młodej damie szklanę wody? – Wyjął krawat spod między guzików koszuli.

Przed sobą miał państwa Williamsów, nowych mieszkańców Lenox Avenue.

– Szanowna pani, jeśli sofa, na której pani siedzi, wydaje się znajoma, to dlatego, że w zeszłym miesiącu grała w *The Donna Reed Show*. Pamięta pani tę scenę u lekarza? Teraz wszyscy chcą mieć taką sofę.

Carney zaczął wymieniać zalety serii Melody: kosmiczna sylwetka, komfort potwierdzony naukowo. Rusty przyniósł pani Williams szklanę wody – nie śpieszył się, tak by szef miał czas na płynne przejście do oferty sprzedaży. Kobieta napiła się, przechyliła głowę i słuchała w zamyśleniu, może gadki Carneya, a może istoty w swym łonie.

– Szczerze mówiąc – odezwał się mąż – jest tak gorąco, że Jane musiała na chwilę przysiąść.

– Kanapy są przecież do tego stworzone, i to dosłownie. W jakiej pan pracuje branży, jeśli wolno spytać?

Pan Williams drugi rok uczył matematyki w dużej podstawówce przy Madison Avenue. Carney skłamał, że z matmy zawsze był kiepski, a wtedy pan Williams zaczął

go przekonywać, że warto interesować dzieci liczbami od małego, żeby nie czuły się onieśmiałe. Recytował jakby wprost z nowego podręcznika metodycznego. Każdy ma swoje gadki.

Termin porodu pani Williams wypadł za dwa tygodnie. To ich pierwsze dziecko. Czerwcowe. Carney chciał rzucić jakieś swojskie hasło o czerwcowych dzieciach, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– My z żoną we wrześniu spodziewamy się drugiego – powiedział, co było prawdą. Wyjął fotografię May z portfela. – Wystrojona na urodziny.

– Prawda jest taka, że jeszcze długo nie będzie nas stać na nową sofę – przyznał się pan Williams.

– To nic. Proszę pozwolić, że państwa oprowadzę – odparł Carney.

Nie udać zainteresowania po tym, jak przynieśli szklankę wody, byłoby nieuprzejmie.

Trudno przeprowadzić porządną prezentację salonu, kiedy jedna z osób jest uwiązana do miejsca i dyszy. Mąż kulił się w sobie, ilekroć zanadto zbliżył się do towaru, zupełnie jakby samo jego sąsiedztwo wysysało mu pieniądze z kieszeni. Carney pamiętał te czasy: wszystko zbyt drogie i zbyt potrzebne zarazem, on i Elizabeth radzący sobie sami ze światem jako nowożeńcy. Miał już wtedy sklep, dopiero co otwarty; nikt nie wierzył, że sobie poradzi, tylko ona jedna. Ostatecznie, kiedy go wsparła i powiedziała, że da radę, ze zdziwieniem przyglądał się

tym obcym rzeczom, które mu dawała. Życzliwość i wiara – nie wiedział, w jakie pudełko je schować.

– Układ modułowy pozwala wykorzystać każdy skrawek pokoju – powiedział.

Zachwalał zalety nowego segmentowego zestawu Argent, w które autentycznie wierzył – proszę spojrzeć, nowa siodełkowa konstrukcja i zwężane nóżki sprawiają, że całość zdaje się unosić w powietrzu – chociaż myślami był gdzie indziej. Te dzieciaki i ich zmagania... Uświadomił sobie, że przecież aktorzy robią to co wieczór: wygłaszają kwestie na scenie, wciąż roztrząsając wczorajszą kłótnię, albo nagle przypominają sobie o niezapłaconych rachunkach na widok mężczyzny w piątym rzędzie, który wygląda zupełnie jak ten człowiek z banku. Żeby dostrzec jakiś błąd w przedstawieniu, trzeba by przychodzić co wieczór. Albo być innym członkiem trupy teatralnej, którego w tym samym czasie rozpraszają własne skojarzenia. Carney pomyślał, że trudne są początki w tym mieście, jeśli znikąd nie można liczyć na pomoc...

– Czy mogę zobaczyć? – zapytała pani Williams. – Chcę tylko na moment sprawdzić, jak się na niej siedzi.

Przed chwilą się podniosła. Stali we troje przed kanapą Argent, a turkusowe poduszki były jak nęcąca chłodna woda w skwarnej dzień.

Pani Williams słuchała przez cały czas, pijąc wodę. Zdjęła buty, a potem się położyła i oparła o wygięty lewy podłokietnik. Zamknęła oczy i westchnęła.

Umówili się na zadatek niższy niż zazwyczaj oraz dogodne raty. Wszystko razem było niedorzeczne. Kiedy skończyli z papierami, Carney zamknął za nimi drzwi na klucz, żeby znowu nie zmienili zdania. Seria Metropolitan od Argent to rozsądna inwestycja – poddane obróbce chemicznej poduszki z pokrowcami z tkaniny bouclé i wypełnieniem z pianki leniwej, uznane za najwygodniejsze w ślepym teście przez czterech na pięciu respondentów. Wytrzyma długo, przetrwa jedno dziecko, a potem kolejne. Carney cieszył się, że nie powiedział Rusty'emu ani Elizabeth o rezygnacji ze sprzedaży na raty.

Rusty odbił kartę i w salonie został tylko on. Po wydaniu tyłu pieniędzy kończył dzień na minusie. Nie wiedział, skąd weźmie na czynsz, ale na razie to dopiero początek miesiąca. Nigdy nie wiadomo. Telewizory to sensowny zakup, a Williamsowie byli sympatyczną parą, więc dobrze było zrobić dla nich coś, czego nikt nie zrobił dla niego w młodości: wyciągnąć do nich rękę. Może i jestem spłukany, ale przynajmniej uczciwy, powiedział sobie, jak zwykle w takich momentach. Kiedy tak się czuł. Zmęczony i lekko zdesperowany, ale zarazem szlachetny. Zgasił światło.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).